

JERZY MARCHOWIECKI

Achtung, Banditen!

Czyli polskie podziemie – między Zelowem a Pabianicami

Na początku lat czterdziestych dwudziestego wieku, co najmniej połowa Europy została zniewolona przez hitlerowskie Niemcy. W podbitych krajach ludzie pogrążeni w rozpacz, szukali pociechy, jak się tylko dało, na wszelkie możliwe sposoby. Wszystko, co było Niemcom niemiłe, stawało się natychmiast szeptaną radością, dawało jakąś iskierkę nadziei, krzepiło...

Gdzieś na uboczu wielkiego świata i wielkiej polityki, spotkali się w tych czasach dwaj dziadkowie – dziadek Bartosz i dziadek Antoni. Łyknęli po dwa, albo i trzy naparstki bimberku, ale ten „boski” napój wcale ich nie ożywił. Mało tego, dziadek Bartosz dał natychmiast wyraz swej bezgranicznej rozpacz, swemu bezna-dziejnemu nastrojowi:

– Mój Boże – jęknął – jak nic zgniemy w niemieckiej niewoli... No, bo kto nas wyswobodzi, no kto?...

– Nie martw się Bartoszkule... Anglijo nas wyswobodzi... Zobacysz.

– Anglijo nie do rady – jęknął znów Bartosz.

– Nie do rady Niemcom, Antoś.

– Do radę, do radę... Ha!... Ty wiesz?... Anglijo, to je wielko Brytonijo... mo aż siedym tysięcy ludzi!

Jak widać, dziadek Antoni umiał rachować jedynie do tysiąca, ale mimo wszystko potrafił natchnąć dziadka Bartosza, jakąś tam nadzieją.

Przygnębienie było jednak powszechne. Na co dzień, powodem niepokoju było na przykład, wezwanie do Arbeitsamtu, czyli urzędu pracy. W owych czasach, Polacy nie nazywali tego przybytku według oficjalnej nomenklatury, urzędem, posługiwali się adresem „Mordkę straszę”, co było zniekształconą, niemiecką nazwą – Moltke Strasse (Sztrase – ulica Moltkego, dziś ulica Próchnika).

– O Boże! – lamentował ten i ów. – Mam wezwanie na „Mordkę straszę”!...

Był to autentyczny powód do niepokoju, bo wizyta taka, bardzo często kończyła się wysyłką do Niemiec, czyli do tak zwanego Reichu (Rajchu), a tam różnie bywało. Bywało, że polscy robotnicy przymierali głodem i jedynym ratunkiem była ucieczka, co z kolei, mogło oznaczać obóz koncentracyjny.

Mimo wszystko, mimo faktu zniewolenia, okazało się, że Polska jednak żyje. Bardzo szybko wyszło na jaw, że to właśnie Polska stała się jednym z centrów walki z hitlerowskim okupantem. Wszędzie, pojawiali się odważni ludzie, którzy prowadzili akcję sabotażu, a nawet decydowali się na otwartą walkę z Niemcami. Także w rejonie Zelowa, pojawiło się podziemie. Działalność swą skierowało jednak, głównie na udzielaniu pomocy zbiegłym z niemieckiej niewoli rosyjskim żołnierzom. Mieszkańcy mający kontakt z podziemiem dostarczali żywności i odzieży. Ale ci pozostali, też działali po myśli kierownictwa podziemia i spontanicznie udzielali zbiegom pomocy – bywało, że ukrywali zbiegów.

Wbrew pozorom ludzie ukradkiem coraz chętniej słuchali opowieści, „co mówi Londyn”, a mówił wiele. Wyjaśniał, wbrew okupacyjnej

propagandzie, sytuację na frontach. Bardzo szybko rozeszła się informacja o niemieckiej klęsce pod Stalingradem i to najpierw wśród Polaków, a dopiero potem wśród Niemców, ale ci i tak trąbili o niemieckich sukcesach.

Maria początkowo, była przybita okupacyjną rzeczywistością. Jedyne nadzieję stanowiła modlitwa „za ojczyznę”, powtarzana dwa razy dziennie przy okazji odmawiania paciera.

Przebudzenie nastąpiło całkiem nieoczekiwanie. Impulsem była deklaracja pewnego starego Niemca. Stało się to wiosną czterdziestego drugiego roku, kiedy Maria wraz z chłopcami zdecydowała się pewnego razu na pieszą wędrówkę z Łasku do Zelowa. Kiedy dotarli do Buczka, chłopcy byli solidnie zmęczeni i Maria weszła do pierwszego z brzegu domu, żeby odpocząć. Gospodyni przywitała ich z uśmiechem, przyjęła gości kolacją, zaproponowała nawet, nocleg. Po jakimś czasie wrócił gospodarz i przemówił do swej żony po niemiecku. Okazało się, że mieszkańcami chaty, byli Niemcy, ale namówili Marię na nocleg, twierdząc, że nie ma sensu iść dalej pieszo, ponieważ ostatni autobus już odjechał. Byli też na tyle tolerancyjni i kulturalni, że przestali szwargotać, prowadząc dalej rozmowę po polsku. Wprawdzie gospodarz demonstrował swój entuzjazm wobec Hitlera, ale jego żona nie popierała wynurzeń męża, słuchając w milczeniu.

Rano gospodyni zgotowała na śniadanie mleka i poczęstowała swych gości. Podpowiedziała też, kiedy będzie autobus, bo ten kawałek, do Zelowa, na pewno wygodniej będzie podjechać.

Kiedy było – co najmniej – pół godziny do nadejścia autobusu, Maria z chłopcami usiadła na ławeczce pod ścianą i co chwila zerkała na swój budzik. Wówczas podszedł ojciec gospodarza i ostrożnie usiadł na brzegu ławki.

– Proszę pani – przemówił chwilę później po polsku. – Ja nie widzę... Jestem niewidomy... Ale bardzo dobrze słyszę. Chciałem powiedzieć, co myślę... Wprawdzie, mój syn uważa, że Niemcy zajądą Europę, ale ja w to nie wierzę. Niemcy – proszę pani – wojny nie wygrają...

– Dlaczego? – spytała na wszelki wypadek, Maria.

Nie wygrają... Nigdy! – powiedział stary Niemiec. – Bo Niemcy, proszę pani, walczą z Bogiem. Wspomni pani moje słowa... Nie wygrają, bo z Bogiem nikt jeszcze nie wygrał...

Maria, przez całe miesiące rozmyślała nad słowami starego, niewidomego Niemca, a nawet powtarzała jego słowa Polakom. Od tej chwili nastąpiła u niej znamienna metamorfoza: po prostu przestała się bać. Powoli zniecierpliwiła i to podwójnie, zarówno Hitlera, jak i jego popleczników.

Inną, nieprawdopodobną informację, uzyskał od pewnego małego Fritza, niemieckiego chłopca, Andrzeja. Fritz był rówieśnikiem Andrzeja i co chyba ważniejsze, nie zapomniał polskiego języka. Podczas spotkania mały Fritz niósł w ręku kupione dla swego ojca pismo – „Adler” (Orzeł). Pismo opisywało wyczyny Nie-

mieckiej Luftwaffe. Zwrócił on uwagę Andrzeja, na kpiny Niemców z wziętych do niewoli amerykańskich lotników, którzy byli... Murzynami. Andrzej, chcąc się przypodobać Fritzowi, podchwycił nastrój gazety i zaczął się śmiać z Amerykanów, że nie mają już ludzi, bo ci wyginęli w walkach z Niemcami i muszą posługiwać się czarnymi „dzikusami”; nic go to przecież nie kosztowało. Wtedy, o dziwo, Fritzek, ze śmiertelnie poważną miną, powiedział:

– Ty się z tego nie śmiej... Myślisz, że Murzyni są nic nie warci? – Mój ojciec walczył przeciwko Murzynom i... powiedział, że nigdy więcej nie chciałby się z nimi spotkać!... Ty wiesz, co powiedział mój ojciec – dodał rozglądając się ostrożnie dookoła – powiedział, że aby zabić Murzyna trzeba mu dać pięć śmiertelnych postrzałów!... A ci Murzyni wcale się nie boją i... strzelają niesamowicie celnie!

W ten przedziwny sposób, Andrzej został, na wiele dziesięcioleci, entuzjastą Murzynów. Wyznanie małego Niemca powtórzył oczywiście swej mamie. Jednocześnie, począł pilnie śledzić hitlerowską propagandą sukcesu.

Tymczasem na terenach odwiedzanych przez Marię zdarzały się wypadki, które trudno było wytłumaczyć. Tu i ówdzie mówiono po cichutku o partyzantach. Tu i ówdzie, ludzie wyrażali nadzieję na odrodzenie, chociaż wielu mieszkańców polskich wsi powątpiewała, że jest to w ogóle możliwe, tym bardziej, że Niemcy niezmiennie nazywali członków podziemia, bandytami. Zdarzało się, że i tu pojawiało się znane okupacyjne hasło:

– Achtung, Banditen!

Powtarzane było przez Niemców z uczuciem grozy, bo ci panicznie bali się partyzantów, co Marię chwilami wręcz bawiło. Natychmiast wyczuwała ich lęk i bardzo często wspominała w polskich domach o spotkaniach z „podejrzanyymi” osobnikami, napawając zniepokojonych wieśniaków, zarówno obawą, jak i otuchą. Bez przerwy opowiadała ludziom, „co mówi Londyn”. Przy każdej wizycie na wsi miała nowe wieści, robiła to wręcz jawnie, ignorując panoszenie się „zwycięskiego Herrenvolku”, aż wreszcie, fama o jej informacjach dotarła do Niemców, tak że zaczęły ją bacznie obserwować.

Nocowała zazwyczaj na samym końcu wsi, tuż przy lesie, na Wygodzie, u Wełniny, gdzie Niemcy z Łobudzie nie pojawiali się, właściwie nigdy lub prawie nigdy. Uwagę na to właśnie ustronie zwrócili natychmiast ścigani uciekinierzy.

Otóż na tym odludziu, jakieś trzysta, cztery-sta metrów od chatki Wełniny, stała samotna, wielka stodoła, gdzie przez dłuższy czas składowano słomę, której nadmiar stanowił niemalże problem. Było to nawet całkiem przytulne miejsce i Maria, a szczególnie jej chłopcy, kilkakrotnie mieli chęć tam właśnie przenocować. Idąc do chatki, będącej domem Wełniny, za każdym razem przechodziło się obok tej własnej stodoły.

Aż pewnego razu, mijając późnym wieczorem samotną, wielką szopę, usłyszała wyraz-